
Wstęp

Wszechświat, a właściwie każdy z nieskończonej ilości wszechświatów, mimo pewnych zachodzących w nim zmian, cały czas pozostaje taki sam. Istnieją w nim potężne galaktyki, składające się z tysięcy płonących kul gazu, nazywanych gwiazdami, z których co jakiś czas któraś to rodzi się, to umiera. Wokół części z nich po stałych orbitach krążą olbrzymie skupiska materii zwane planetami. Pomiędzy nimi codziennie przemykają miliardy miliardów drobniejszych fragmentów kosmicznej układanki, którym ktoś kiedyś nadał nazwę komet. Co jakiś czas któraś z nich znajdzie się na kursie kolizyjnym z planetą. Planety jednak zwykle nic sobie z tego nie robią. Komety – jeżeli są małe, spalą się w ich atmosferze, nie dotykając nawet ich powierzchni; jeżeli większe, gdy dotrą do powierzchni planety, pozostawią na jej skórze drobne znamię, nie bardziej widoczne niż pozostałość po niewielkim rozdrapanym strupku; jeżeli zaś są naprawdę duże... no cóż... powiedzmy, że będąc planetą, możesz pomyśleć, że tak generalnie to szkoda ci tych wszystkich pasażerów, którym setki milionów lat zajęło wyewoluowanie z zalegających gdzieś na dnie sadzawki jednokomórkowców do kilkudziesięciometrowych maszyn przetwarzających tony trawy na tony... materii użyźniającej glebę, żeby rosnąć mogło jeszcze więcej trawy. Ale nikt przecież nie mówił, że życie jest sprawiedliwe. W każdym razie dla planety to normalna kolej rzeczy, a w całym wielkim wszechświecie historie takie zdarzają się prawie codziennie.

Dlatego postronny obserwator mógłby zauważyć pewną niecodzienną sytuację, w której na widok komety stojące na drodze jej lotu planety gwałtownie zmieniają swoje orbity, oddalając się śpiesznie. Niektóre skamląc przy tym w niebogłosy.



Ludzie wierzą, że jeżeli na niebie pojawia się kometa, oznacza to, że jakoweś wielkie nieszczęście niebawem na nich spadnie. Są jednak i ludy, które mniej pesymistycznie do pojawiających się na niebie znaków podchodzą. Lud Swargów, na ten przykład, wierzy, że pojawienie się na niebie komety jest zwiastunem narodzin jakiejś wielkiej w przyszłości osoby i świętują znak taki hucznie.

Nic więc dziwnego, że gdy w domostwie Layfa, syna Hrod-munda, w chwili gdy ogon komety nade wsią świecił najjaśniej, rozległo się kwilenie nowo narodzonego dziecięcia, wszyscy uznali, że dziecku wielkość z góry pisana.

Dziecku rodzice na imię dali Rroaghr, co przez lat jeszcze wiele przedmiotem domysłów wielu było, co też kierowało nimi, że dziecku krzywdę tak srogą wyrządzić postanowili. Jedni twierdzili, że do historii ich ludu chwalebnej – tej z czasów, gdy na roli jeszcze nie osiedli, a jedyną ich ambicją nie było wyhodować marchewkę większą niżli u sąsiada – nawiązać chcieli, gdy przodkowie ich okrzykiem imieniu temu podobnym na wyprawy wojenne wyrusza-
li. Wtedy to bowiem świat cały drżał na widok okrętów Swargów, których pojawienie się nieodmiennie oznaczało gwałty, rabowanie i podpalenia. Z delikatną przewagą gwałcenia. Inni twierdzili, że gdy po trzech dniach narodzin syna świętowaniu ojciec Rroaghr przed kapłanem stanął, jedynie to w stanie z siebie był wydu-
sić, zanim w świńskim korycie ukojenie żołądka sfatygowanego był znalazł. Jeszcze inni magicznych zaklęć w imieniu się tym doszukiwać próbowali. Jakkolwiek nie wyglądałaby prawda, na chłopca na co dzień wołano po prostu Rory.



To był całkiem zwyczajny dzień. W umyśle rudego stworzenia z gatunku *Vulpes vulpes** pojawiło się odwieczne pytanie o cel istnienia. Jako jednak, że możliwości poznawcze lisów są dość ogra-

*Pod niektórymi szerokościami geograficznymi nazywanego po prostu li-
sem.

niczone, na końcu procesu myślowego zawsze pojawia się jedzenie lub przedłużanie gatunku. Niestety brak w okolicy przedstawicieli płci przeciwnej sprawił, że wybór okazał się oczywisty.



Z punktu widzenia wszechświata ułamkiem sekundy nawet trudno by ten czas nazwać, z punktu widzenia oracza pół wiosen osiemnaście minęło. Tyle właśnie kwilenie dziecięcia Layfowego od rozmyślań lisich dzieliło.



Ludzie wierzą, że jeżeli na niebie pojawia się kometa, oznacza to, że jakoweś wielkie nieszczęście niebawem na nich spadnie. Są jednak i ludy, które mniej pesymistycznie do pojawiających się na niebie znaków podchodzą. Na nieszczęścia dla lisa, jego teren łowiecki znajdował się akurat w zdecydowanie pesymistycznych okolicach. Trudno się więc jego zdziwieniu dziwić, gdy o zmierzchu powoli do niczego nie przeczuwającego zająca się skradając, zobaczył na niebie świecący obiekt, zmierzający wprost jego kierunku. Lisy mają to do siebie, że gdy światło szybko zbliżające się w ich kierunku zobaczą, stają bez ruchu, a czasem nawet biegną ku niemu. Nie jest jasne, czym jest to spowodowane. Wątpliwym jednak jest, żeby była to jakaś wyjątkowo przemyślna technika przetrwania. A jeżeli tak jest, to temu lisowi na pewno przetrwać nie pomogła. . . jak i połowie jego rodzinnego boru.

ROZDZIAŁ I

Wiatr łagodnie poruszał drzewami, a na jeziorze tworzył delikatne fale, tak jakby nie chciał mocniejszym dotykiem zburzyć jego spokoju. Tuż przy jeziorze stał zamek. Choć osobnik o bardziej czepliwej naturze mógłby się pokusić o zakwestionowanie właściwie każdego elementu tegoż zdania. Nie był to właściwie cały zamek, a połowa jego jedynie. I choć jeszcze stała, to wydawało się przy każdym podmuchu, że za chwilę stać przestanie. Ruina owa również tuż przy jeziorze się nie znajdowała, a wręcz częściowo w nim, prezentując spod wody co bardziej odporne na zniszczenie swe elementy.



- Ale dlaczego on? – spytał głos pierwszy.
- Czy na pewno nie ma lepszych? – drugi mu zawtórował.
- Myślę, że powinniśmy powołać komisję – odezwał się trzeci – zebrać wnioski i wnikliwie rozważyć. . .
- On dobry – czwarty głos odezwał się uspokajająco, a gdy tylko zaczął mówić, umilkły wszystkie szmery. – Z tym, czego od niego oczekujemy, radę sobie da. Nie lękajcie się.
- Ale od tego wyboru los nas wszystkich jest uzależniony – niepewnie rozpoczął drugi głos. – Czy na pewno. . .
- Tak postanowiliśmy i tak będzie – odpowiedział czwarty. – I wszyscy chyba jesteśmy w tym wyborze zgodni?

- J... jesteśmy – odparł drugi.
- Jesteśmy – odparł chór pozostałych głosów.



Mężczyzna w bogatym czarnym stroju stał na jednym z tysiąca balkonów, górującego nad cesarską stolicą Schwertberg, zamku Schwerthof. W dole gromada członków dworu bawiła się właśnie w chowanego. Kilku innych grało na lutni piosenki rzewne. Inni pilnowali, żeby tron cesarski i wszystko, co w jego pobliżu znajdowało się, pozostawało zawsze w idealnym porządku i nawet jedno ziarnko piasku czy źdźbło trawy nie zbrukało swą obecnością miejsc, w których za chwilę własną osobą przebywać Najjaśniejszy Majestat będzie.

– Cesarz nie przyjmie Waszej Miłości – rozległ się cichy głos. – Arcykanclerz kazał przekazać, że Jego Wysokość, gości dziś swych wasali z Rhinmarchii na festynie z okazji dnia świętego Kundenbradta, jutro poluje na przepiórki, pojutrze...

– Dobrze już, Kunonie, a kiedy najwcześniej Jego Wysokość może znaleźć dla mnie czas w swym jakże napiętym rozkładzie dnia?

– Nie powiedział tego. Ale dni, w których Cesarz jest zajęty, aż do dnia św. Uty z Margowii wymieniał, więc...

– Odejdź. Chcę zostać sam.

Gdy sługa zamknął za sobą drzwi, jego rozmówca oparł się o murowaną balustradę balkonu i zagłębiła się we własnych myślach. Kiedy to się właściwie stało? Kiedy najpotężniejsze imperium, jakie widział świat, zmieniło się w to, czym było dzisiaj. Przecież nie tak dawnymi jeszcze były czasy, gdy mówiło się, że gdziekolwiek stanie stopa allemańskiego żołnierza, było, jest i będzie Imperium Allemańskie. A stopa ta stawała wszędzie. Aż do granic znanego świata. Na nowo cywilizowanych ziemiach cesarze, z których o każdym powstawały pieśni wspaniałe, czyny ich wielkie sławiące, stawiali zamki, których świat dotąd nie oglądał, budowali miasta i drogi je łączące. Rozwijali handel. Słowem, w dniu każdym dbali o wzrost potęgi, sławy i chwały Cesarstwa. A dziś?

Boże drogi, a dziś? Czy o czym jeszcze nasz monarcha myśli niżli dobra zabawa za dnia i ściągnięcie do łoża jakiego gładkiego młodzieńca o pośladkach jędrnych, jeno niezbyt zaciśniętych, na noc? Przecież jeszcze sto, ba – pięćdziesiąt lat temu żadnemu księciu Streitaxtmarchii nie odmówiono by audiencji na cesarskim dworze. Zwłaszcza nie po tym, co się tej wiosny z zamkiem jego stało. Ciarki na myśl samą ciało księcia przeszły. Otulił się płaszczem ciepłym, po czym do komnat z powrotem ruszył. Kiedy to się właściwie stało?

Usiadł w fotelu i spojrzął na wiszące na ścianach komnaty obrazy. Na pierwszym Herman Krwawy Topór w bitwie na rzece Ungare zdobywał swój przydomek na hordach niewiernych. Na drugim Tybald II Niedźwiedź przedstawiony był w trakcie bitwy na przedpolach Simmagilion, gdy jego miecz na stałe zaklinował się w czaszce wodza Bormantów, a on sam od otaczających go wrogów opancerzonym truchłem jednego z pokonanych wrogów opętać się musiał*. Jakież to musiały być czasy, myślał, patrząc w płomienie w kominku, po czym, mimo pory nadal wczesnej, zasnął. Na jego palcu kamień, wcale nie z tych szlacheckich, w jednym z pierścieni delikatnie płomieniom z ogniska odpowiadał, lśnić najpierw nieśmiało, potem zaś coraz jaśniejszym światłem.



Odziana na białą postać siedziała w skupieniu z zamkniętymi oczami pomiędzy drzewami na brzegu niewielkiej rzeczki. Wiatr co chwilę rozwiewał długie, siwe włosy starca. Ten zaś wsłuchiwał się w jego podmuchy. W głosy ptaków. W szum wody w rzece. W szelest liści na drzewach. Na twarzy jego co jakiś czas wyraz zdumienia się pojawiał, a na czole występowała bruzda głębokiego zamyślenia. Wiele lat już przeżył. Starszy był niż którykolwiek z mieszkańców okolicy i niż większość drzew w pobliskich lasach.

*Dziś zapewne zostałyby to nazwane beczeszczaniem zwłok i było przedmiotem śledztwa jakiegoś trybunału, w tamtych jednak czasach określano takie zachowania mianem heroizmu raczej.

I wiele razy już po łysiczki zjedzeniu głośy z zaświatów go docho-
dziły. Nigdy jednak dotąd nie były tak wyraźne. I tak zadziwiająco.



Każdy, kto wieczór ów sprzed lat osiemnastu pamiętał, na wła-
sne oczy przekonać się mógł, że na wielkiego zaprawdę człowieka
wyrósł Rroaghr, syn Layfa. Bo choć Swargów plemię słyneło wśród
okolicznych ludów z tego, że postawni sami mężowie się w nim ro-
dzą, to dwa metry z okładem niewielkim nawet wśród nich częstym
wzrostem nie były. A i siły mu nie brakło zdecydowanie, jako że
gdy się z siekierą na drzewo jakie zamachnął, niczym w masło
ostrze w nie wchodziło, na drzewie sąsiednim nierzadko się do-
piero zatrzymując. Drwalem był bowiem, wbrew ojcowskim pla-
nom ambitnym. Ojciec to wprawdzie, gdy lat Rroaghr miał osiem,
pierwszy topór mu sprezentował, aby chłopca w wiek męski wej-
ście uczcić, nie spodziewał się jednak na pewno, że pamiątka ta po
dziadka dziadku do drev rąbania wykorzystywana będzie. Siły nie
było jednak na to żadnej, bo choć natura siłę ogromną młodzień-
cowi dała, to wrażliwością wielką na krzywdę stworzeń wszelakich
ją zrównoważyła. Przeto nie tylko zbrojny z niego gorszy byłby
niżli z niemego pieśniarz, ale i w uboju gospodarskim całkowicie
przez to nieprzydatny był.

– Witaj, Rory – głos za plecami chłopca, gdy ten na kolejne
drzewo się zamierzał, odezwał się. Choć to akurat nie więcej niż
trzy ćwierci stopy grubości miało, więc i zapewne rękami gołymi
przełamać je by bez trudu zdołał. – Odłóż na chwilę siekierę. Do
porozmawiania mamy.

– Witaj – odparł, wbijając siekierę w pobliski pniak i podcho-
dząc w kierunku ubranego na biało starca. – Jak sobie życzysz,
Hjalte.

Usiedli na pobliskim pniu zwalonego drzewa. Starzec pogładził
się po brodzie. Nie bardzo wiedział, jak zacząć, postanowił więc
kolejno, etapami, do celu rozmowy z młodzieńcem dojść.

– Czy wierzysz w bogów?

– Jakże by nie. Wszak przy każdym święcie z rodzicielami razem składamy obfite im dary.

– Nie pytam się, czy dary składasz, bo to każdy robi. Inną sprawą jest to, że czasy ostatnimi w większości są to owoce nadpsute, miód pleśnią przykryty i chleb, którym skały kruszyć by można. Ale czy wierzysz?

– Wierzę, że jest słońce, które grzeje nas i światło nam daje. Wierzę, że jest ziemia, która hojnie nam obradza. Wierzę, że lasy są pełne jagód i zwierzyny, dzięki którym jeść co mamy. Wierzę, że są rzeki i morza w ryby obfitujące, żeby rośliny i mięso nie zbrzydły nam za nadto. Wierzę, że są drzewa, które w upalny dzień cieniem nam służą, przed słońcem osłaniając, a zimą przy palenisku grzeją. Wierzę, że są ptaki, które śpiewem swym pracę nam umilają, na wietrze się unosząc, który zapachy z kolei wspaniałe nam niesie. Jakżeby to tak wspaniałe i przemyślane urządzone być miało, gdyby nie bogowie. Kto inny świat takim by stworzył. Oczywiście, że wierzę w nich.

– A to dobrze. Bo choć każdy jeden dziś pierwszy do darów składania i na świętach ku bogów naszych czci odprawianych do w pierwszym rzędzie stania, to wiary niewiele w ludzie dzisiejszym, niewiele. A czy wierzysz, młody Rroagrhe, w to, że losami ludzi bogowie kierują?

– Jasna to sprawa. Nieraz wieczorową porą sag wspaniałych słuchałem – tej o Kjaspe, którego, po tym jak w pijanym szale posągi bogów na Polanie Tarthaudzkiej był postrącał, Bogowie na skraj świata wysłali, by z Drzewa Krawędziowego nowe, jeszcze wspanialsze był wyciosał, świat tym od okrutnej ich zemsty ratując. I tej o Thurginie, który pod ziemię, aż do wnętrza Urgii za bogów radą zejść musiał, po Miecz Regwaara, którym Nazhajów świat nasz hordy plądrujące pokonał. I . . .

– Wspaniałe to historie, prawda. Krainy, których nawet w najgłębszych naszych myślach wyimaginować nie jesteśmy sobie w stanie. Przygody niebywale wręcz. Jakaż to szkoda, że nie mogą być każdego z nas udziałem. A ty, Rroagrhe – masz może jakieś marzenia o podróżach jakichś, o miejscach odległych, które zobaczyć byś chciał?

– Osadę Tartig chętnie bym zobaczył. Nie wiem, czy wiesz, Hjalte, ale słynie ona w środowisku drwali. . .

– Tak, tak – a o czymś dalej niżli dzień drogi od domu i większym niż kilka chat nie myślałeś?

– Może o targu w Honbe z okazji święta Bogini Ralte. To aż dwa dni drogi z naszej osady, a Narmni opowiadał, że wyjątkowo twarde oselki do siekier dostać tam można.

Hjalte przez chwilę myśli zbierał. Zrozumiał już, że nie będzie to łatwa rozmowa i że trzeba będzie nieco wspomóc rozmówcę w odkryciu właściwych jej torów.

– Przed chwilą rozmawialiśmy o bogach i o tym, że czasami do nas przemawiają, że niekiedy losami ludzi pojedynczych kierują. A potem spytałem, czy o podróżach jakichś nie myślisz. Czy nie domyślasz się do czego rozmowa ta prowadzić ma?

– W Swarinie natomiast – z miną podekscytowaną niezrażenie kontynuował Rory – podobno kowal narzędzia wspaniale wykuwa. I w cenie przystępnej. Ojciec od dawna powtarza, że dobrze by było kiedyś tam po nie pojechać. Ale to prawie cztery dni drogi przez knieje.

Hajlte cenił sobie Layfa jako człowieka inteligentnego, jak na kogoś nieprzynależnego stanowi kapłańskiemu. I dlatego – nie żeby oczywiście miał podstawy, żeby żonie Layfa jakkolwiek zarzut czynić – gdy rozmawiał z Rorym, w umyśle jego pojawiało się często pewne pytanie, które uporczywie powracało przy każdej okazji, gdy Rory inteligencją kowała Gwalla lub pasterza kóz Woidera się w rozmowie odznaczał.

– Myślałem o nieco dalszej podróży. . .

– Za Swarinem jest już tylko kilka małych osad myśliwskich w Borze Odobarskim, ale w nich ciekawego nic raczej. . .

– Dalszych, Rroagrze. Dalszych. Czy wiesz, co jest na końcu drugim boru?

– Podobno świat się w nim kończy. W każdym razie nikt, kto w niego zbyt daleko się zapuścił, nie powrócił. Tak mówią w razie każdym. Starzy myśliwi, którzy w zeszłym roku skóry przyjechali do wsi na łuki mistrza Hjaltoera wymieniać, mówili wszakże, że od innych myśliwych słyszeli, którzy z kolei również od kogoś to

zasłyszeli, że po drugiej stronie boru miasto wielkie, przez lud o języku dziwnym i zwyczajach jeszcze dziwniejszych zamieszkiwane się znajduje. I że to trzy, a może i cztery tygodnie do Swarinu drogi, a po drodze wilków pełno. Podobno spotkać można bełty, lesije i beboki, a najgłębszych kniejach i trolle. Ale to jak na mój rozum bajki tylko, bo przecież. . .

– Nie są to bajki, choć po obu stronach boru językiem akurat tym samym się mówi. Tam jeno z akcentem szpetnym wyjątkowo. Za Borem Odobarskim znajduje się miasto Güsterheim, o którym ludzie ci mówili zapewne. Ale od dawna nikt z naszej strony boru nie pojawił się po tamtej stronie. A nikt od nich na naszej. Choć nie jest to wielkie miasto właściwie. To miasteczko od wsi ichniej niewiele większe. Ostatnie zaledwie miasteczko wielkiego państwa, które ciągnie się aż do Wielkiej Wody, o miesiące drogi na zachód stąd. Za czasów dawnych, których ani dziadowie nasi, ani nawet dziadowie ich dziadów nie pamiętali już, czciliśmy tych samych bogów, a przez Bór Odobarski wiódł trakt handlowy, który bogacił nasze ludy i cementował przyjaźń między nimi.

– Co się więc stało? Dlaczego nigdy to tej pory nie słyszałem o tym, co znajduje się po drugiej stronie lasu? Dlaczego zawsze się mówiło, że za lasem świat się kończy?

– Bo i się kończy. Tam kończy się nasz świat. Lud tamtejszy przegnał naszych bogów, wyciął święte drzewa, a ziemię zrosił krwią naszych kapłanów. Jednego boga tylko wyznają, bałamutną nazwą Wielkiego i Jedyne go określając. Wiele razy też i na naszą ziemię szaleństwo swoje przynieść próbowali. Jednak bór nie puścił i wojska – z drobną oczywiście wojów naszych pomocą. Ostatni raz, zdaje się, za pradziada mojego miejsce to miało. Potem widać zapomnieli o nas. A i my zapomnieć o nich postanowiliśmy, jako że ze strony ich nic dobrego czekać nas nie może. Od wielu pokoleń nikt z nas nie przeszedł na drugą boru stronę. Ale zmienia się świat. Co nie stało się od wieków, dziś stać się musi. Ty, Rroaghrze, synu Layfa, tam pójdiesz. . .

– Ja? – Rory poderwał się ze zwałonego pnia, na którym od rozmowy początku siedzieli. – Po co? Dlac. . .

– Bo tak bogowie każą. Tak mi w wizji objawione zostało.

– Ale dlaczego ja?

– Usiądź. Widzisz, Rory – bogowie raczej rzadko do ludzi przemawiają. Nawet do kapłanów. A gdy robią to, nie mają raczej w zwyczaju w całość zamierzeń swych nas wtajemniczać. Wiem tylko to, że masz przejść przez las, a krokami twoimi dalszymi bogowie sami kierować będą. Oczywiście nie to, żebym po prawie wieku wiernej służby oczekiwał na tyle zaufania, żeby choć w ogólnym zarysie wiedzieć, co się dzieje. . .

– Ale skąd pewność, że o mnie chodzi? Przecież wizja mogła. . .

Twarz starca stężała momentalnie, a Rory zaczęła żałować, że temat drażył.

– Gdy ojciec twój jeszcze pod siebie robił, a z tego, co zrobił, zwierzątko był lepil*, ja do starych obrzędów już dopuszczany byłem. Jeżeli chcesz się spytać, czy w odczytaniu wizji się nie pomyliłem, to proszę – pytaj. Nie bój się – jestem spokojny.

Rory widywał już spokój tego rodzaju na twarzach. Przeważnie podczas uczt, na moment przed tym, gdy poproszony o powtórzenie swoich słów biesiadnik przelatując nad stołem uświadamiał sobie, że szczerowość w temacie opinii o cnocie matki rozmówcy niekoniecznie musiała być najlepszym pomysłem.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego ja – odbąknął, starając się uniknąć spornego tematu.

– Ja również – odparł Hjalte pojednawczo i uśmiechnął się. – Ale i rozumieć tego nie musimy. Na tym właśnie polega wiara.



Witaj, Hermanie.

Głos był bardzo cichy, a jednak całkowicie wyraźny. Człowiek nazwany Hermanem nie bardzo wiedział, czy rzeczywiście go słyszy, czy też jest tylko w jego głowie. Wokół było ciemno. Zbyt ciemno. Nie to niepokoiło go jednak najbardziej. Jedyne, delikatne

*Jakkolwiek może się to wydać odrobinę odrażające, to mimo że społeczność Swargów głodem nie przymierała, to i o bogactwo posadzać by ją trudno. Nic więc dziwnego, że za zabawki dzieciom służyć musiało to, co akurat pod ręką było.

światło dochodziło z jego pierścienia. A mimo że w swoim ponadczterdziestoletnim życiu Herman przeżył i widział już niejedno, to trudno mu było uznać ten fakt za normalny.

Dawne wspominałeś czasy. Dobre one były. Z Wielkiego i Jedy-nego imieniem na ustach maszerowały allemańskie zastępy wtedy. Od czasów, gdy święty Uta pierwszego pogańskiego władcę nawrócił...

Herman słuchał jak zaczarowany historii, które znał już na pamięć, gdyż od czasów pacholących na jego ojca dworze nie raz już mu je opowiadano. W świetle pierścienia smużki dymu obrazy subtelne, słowa mówcy ilustrujące, tworzyły. Wśród dymu święty Uta w rzece Aleche po trzykroć Hriela I zanurzał, rozpoczynając tym Wiek Oświecony w dziejach Allemanów, po wiekach błędzenia w okowach ciemnoty i wielobóstwa następujący. Herman Krwawy Topór przez lasy północy z wojskiem swym kroczył, zamieniając je w krwawą, wyludnioną, ale zbawioną oczyszczającą mocą świętych płomieni pustynię. Jeźdźcy króla Arangera poili swe konie w rzece Kanagui, nim przez Góry Księżycowe, granice cywilizacji naszej aż po świata na zachodzie kres rozszerzać, ruszyli. Patriarcha Tasilion koronę cesarską na głowę króla Gudryka wkładał, gdy za oknami wojsko allemańskie oczyszczało płonące miasto z niedobitków wiernych patriarsze oddziałów.

Tak. Piękne wspomnienia czasów chwały pełnych to. Ludzie mężni i zuchwali na czele Ludu Wybranego szli wtedy. Silne i zgodne było Allemanów plemię. Nie jak za późniejszych czasów...

Herman patrzył z niesmakiem na kolejne utkane z dymu obrazy. Konnica książąt północnych marchii nacierała z impetem na schiltron wiernego cesarzowi pospolitego ruszenia nad rzeką Revaane. Rhinmarchijscy żołnierze palili wsie w pokonanej Messermarchii. Połączone wojska księcia Tasilli i archieparchy Brenny nacierały przez skutą lodem Edrinę na najeżone pikami szyki spiessmarchijczyków. Obrazy przewijały się jeden po drugim. Na każdym, choć w różnych konfiguracjach, jedno oglądać Hermanowi przychodziło – Allemańczyka naprzeciw Allemańczyka stojącego. A na większości obrazów i jedni, i drudzy coś bardzo ostrego, tu-dzież ciężkiego w rękę trzymali.